

"Lato" Rittnera w Zielonej Górze

Rittner w swoim „Lecie” rysuje wszystkie postacie z dystansu komedio-pisarza; na wet te (Torup, Maja, Doktor, Ernestyna), których serca biją w rytmie serca autora; żadna jednak, chociażby najbar dziej szkicowa, nie jest jedynie rozweselającym manekinem, żadna nie służy wyłącznie jako przerywnik humoru w tej tragi-farsie o ludzkiej samotności i znikomości naszych złudzeń. Żyją te postacie w kręgu swoich maleńkich marzeń, nie wykraczających poza drobne, codzienne sprawy i czynią tysiące nieudolnych i daremnych gestów, ażeby przekroczyć niewidoczną, lecz wciąż obecną barierę, dzielącą od drugiego człowieka. A kiedy próby kończą się fiaskiem — urażona miłość własna dyktuje im imaginacyjne preteksty, jakimi starają się zawoalować swą porażkę. Jeden tylko Torup nie ma złudzeń. Wśród rozbitych pensjonariuszy snuje się beznadziejnie zakochany w doktorowej i przez swę „nieprzystosowanie” popełnia gafę za gaffą, dając okazję do kpín i docinków. Paraliżuje go świadomość tego, co go czeka w obcym i wrogim świecie. Jednak z chwilą, kiedy zazdrosny doktor, chcąc ostatecznie pogniebić domniemanego rywala, ucieka się do podstępów i rozpusza plotkę o jego nieuleczalnej chorobie, Torup zmienia się niespodziewanie. Mając do dyspozycji tylko jedno lato zbywa się lęku i niepewności. Dopiero skazy na śmierć widzi wszystkie uroki świata i potrafi z nich korzystać. W końcu przecież wyprowadzają go z błędu. Woli wtedy wybrać samo bójstwo, niż ucieczkę z kochaną kobietą. Niedoszły topielec, wyłowiony z wody, staje się znów bezwolnym pajacem i pośmiwiskiem otoczenia. Poczucie wzajemnej winy łączy na powrót Maję i Doktora — i tylko młodzieńka

Ernestyna wyrzeka się możliwości uczucia, bo błądzi się, że w ten sposób uchroni się przed pasmem nieuniknionych rozczarowań.

Teatr w Zielonej Górze przyzwyczaił nas w ostatnim sezonie do ambitnego i atrakcyjnego repertuaru. Każda premiera zielonogórska świadczy o dobrej robocie teatralnej. Maria Straszewska (reżyserka) nadała trudnej i wielowarstwowej sztuce Rittnera wartkie tempo, może zbyt non szalankowo obeszła się jednak z tekstem; zubożyła się przy tym strona psychologiczna i zagubiło tak istotne dla teatru Rittnera opalizowanie dialogu, mieniącego się niedopowiedzeniami i wieloznacznością słów. Całkowicie „wypadły” dzieci (wiemy, że zaw sze z nimi kłopot na scenie...); zastąpiła je w wielkiej scenie Torupa... Ernestyna.

Bohdan Sobiesiak, jako Torup, trafnie pokazał sylwetkę nieśmiałego, nerwowego, pełnego kompleksów chłopca, był nawet wzruszający w swej końcowej apatii, ale zawiódł w akcie drugim; nie można było uwierzyć w jego przemianę: z ponurą desperacją wypowiedział miłosne wyznania, a taneczne obroty nie dodały mu lekkości, wprost przeciwnie, robiły wrażenie silenia się na swobodę.

Janina Skalacka nadała Maji ton charakterystyczny i konsekwentnie go utrzymała. Była pozornie zaferowaną panią domu i żoną „niezrozumianą” i kobietą szukającą przygody, aby zapełnić pustkę swego życia. Nie przekonał mnie monolog Maji z ostatniego aktu, w którym piętrzące się pretensje, adresowane zrazu do męża, skierowują się przeciwko niej samej. Ale ten gorzki rozrachunek z sobą, zamknięty słowami: „Po co ja byłam?” — wyrastał po nad zaobienia samej roli w zielonogórskim przedstawieniu.

Mieczysławowi Galeckiemu (Doktorowi) zabrakło siły. Sto sunek do pensjonariuszek wyrażał zdawkową uprzejmością, którą kwitował wszelkie żale rozhisteryzowanych pacjentek, a także swą niecierpliwą uległość wobec żony. Ta poza określiła całą rolę, zacieśniał się tu sens ostrych, kontrastowych replik. Mimo to aktor umiał dyskretnie uwypuklić (szczególnie w III akcie) samotność doktora, jego zasuchanie się w milczący monolog swojego sumienia.

Z dalszych ról Zyta Polomska strywalizowała niestety rolę Lili. Szastała się po scenie i zagubiła prymitywne wdzięki tego „kociaka”, bywającego przeciwieństwem „wielkim świecie”. Łatwo można przerysować postać Goldersa; z dyskretnym humorem grał tego go bęcwał — samochwała Rajmund Jakubowicz. Bardzo efektowną panią Gianetti była Ewa Nawrocka. Trafiła w rittnerowską dwoistość tej roli: jej wewnętrzny niepokój maskowany egzaltacją.

Reżyserka nie żałująca ołówka w skreśleniach „wzbo-gacłła” tekst Rittnera o wiersz Baudelaire'a. Recytowała go pani Gianetti ze snobistyczną gracją. Wydaje się, że Straszewska świadomie zrezygnowała z subtelności analizy psychologicznej, mniej interesowała ją też postawa życiowa Torupa i filozoficzna warstwa utworu; główny nacisk położyła natomiast na socjologiczne zróżnicowanie środowiska i groteskowy komizm sytuacji. Traktując „Lato” jako komedię obyczajową, stworzyła barwny i podobaający się publiczności spektakl.

Dekoracje Ryszarda Kuzyszyna wydatnie wsparły jej zamierzenia. W akcie drugim

na brzegu morza rozstawiono ławki. Najbliższy rittnerowskiej atmosferze był chyba akt ostatni. Zasuwane żaluzje, wyodrębniające wnętrza pensjonatu z zimnego tła horyzontu, pięknie sygnalizowały zbliżającą się jesień i porę odjazdów. Denerwował mnie tylko wypożyczony z kabaretowej rekwizytorni, zwi-sający na pierwszym planie, owalny szyld z pikantnym napisem „L'amour”...

Na osobną wzmiankę zasługuje doskonale zredagowany program. Obok części, poświęconej pamięci Wilama Horzycy, fragmentów jego artykułów i reprodukcji z wybitnych jego inscenizacji — pewnego rodzaju rewelacją jest przypomnienie świetnego szkicu o Rittnerze Witolda Wandurskiego.

* Państwowy Teatr Ziemi Lubuskiej — Tadeusz Rittner: „Lato”; Reżyseria: Maria Straszewska; Scenografia: Ryszard Kuzyszyn. Współpraca dramaturgiczna: Maria Serkowska. Premiera 14 VI 1959 r.



Fot. J. W. Brzoza

LATO — TADEUSZ RITTNER, POUCHARD — HALINA LUBICZ, GIANETTI — EWA NAWROCKA, REŻ.: MARIA STRASZEWSKA, SCENOGR.: RYSZARD KUZYSZYN

Christian Weickert

Święta Joanna szlachtuzów

(KORESPONDENCJA WŁASNA Z NRF)

Dzięki „Berliner Ensemble” mój głębszy w swoim czasie oglądać liczne prawykona-nia utworów Brechta, z któ-lem”, jej autor objawia się w chwala przemocy. Wstrząsaj-niej nie tylko jako jeden z ona i »przekonuje» nawet typ najznakomitszych dramatur-którzy różnią się ideowo